

Joanna Kalicka: Pamięć miejskiej apokalipsy. Spacerując po Berlinie i Warszawie

Nikt nie ma dobrej recepty na obchodzenie się z apokalipsą



Nikt nie ma dobrej recepty na obchodzenie się z apokalipsą

Jak miasto może zapamiętać swoją własną apokalipsę? To pytanie wygląda na wewnętrznie sprzeczne – po prawdziwej apokalipsie nie pozostaje przecież nic z dawnego świata, żaden fragment, o który można by zaczepić zerwaną nić pamięci. A jednak są wydarzenia, które wydają się zasługiwać na to miano, i miasta, które nazwać można apokaliptycznymi. Zrównana z ziemią Kartagina istnieje już tylko w sferze retoryki. Dużo bardziej fascynujące są jednak te apokaliptyczne miasta, po których wciąż można chodzić – odbudowane, a może raczej

zbudowane od nowa na gruzach katastrofy. Do ich miejskiego krwioobiegu dostał się nieusuwalny proch, na który starto ich poprzednie wcielenia. Tak drobny, że umyka ludzkiemu oku, określa jednocześnie najgłębszą naturę miasta apokaliptycznego. Miasta, które w każdej swojej cząsteczce nosi atom życia i atom śmierci.

Berlin, rok 1945: „Miasto jest bezludną, straszliwą kupą gruzów o upiornych kształtach dawnych domów, ulic, placów i dzielnic. Ruiny czteromilionowego miasta, jakby roztraskanego ręką olbrzyma, leżą w słońcu, otoczone zielonym wieńcem mniej zniszczonych przedmieść. (...) Berlin – pustynia gruzów, największe miasto umarłych w Europie, jest nie do opisanie w swojej straszliwej niepowtarzalności”[1].

Ten sam rok, zaledwie sześćset kilometrów dalej na wschód: „Most Poniatowskiego jak struna zerwana i wiadukt opadł ciężko na stalowych łapach. Domy rozstrzelane jak ludzie. Są fragmenty architektury niemożliwe do skonstruowania – jakieś łuki zawisłe na jednym filarze, jakieś ściany ogromne i spiętrzone, dachy wzdęte nad domem jak pióropusze na wietrze. Stoi miasto straszliwe, większe niż wszystkie ruiny świata tego”[2].

Dwa skrwawione miasta. Zapatrzone w swoją wyjątkową historię. Ślepe na łączące je podobieństwo.

Ruiny i pustki

W pierwszych powojennych miesiącach mieszkańcy Berlina i Warszawy zupełnie dosłownie brodzili wśród trupów i gruzów: „Pewnego razu w czasie odwilży, szukając studni w okolicy Raławickiej na opustoszałym placu fabryki Kammlera, zapadłam po kolana w ziemię do zbiorowej mogiły. Buty moje ugrzęzły w rozkładających się trupach. Gdy wygrzebałam się z grobu, musiałam zostawić moje podarte męskie buty, bo tak strasznie cuchnęły. Do domu przyszłam boso. Były to pierwsze dni lutego”[3]. Ludzkie zwłoki uprzątnięto w pierwszej kolejności, ze względów zarówno etycznych, jak i higienicznych, by pamięć o ofiarach celebrować odtąd w wyznaczonych miejscach. Opór zrujnowanej materii okazał się większy. Tony gruzu usunięto najszybciej, jak się dało, ale ruiny jeszcze długo stanowiły część miejskiego krajobrazu.

Zniszczenia można spróbować opisać za pomocą statystyk: w trakcie 363 nalotów bombowych na Berlin 11,3% budynków zostało całkowicie zniszczone, kolejne 8,2% uszkodzono w takim stopniu, że nie nadawały się do odtworzenia. W śródmieściu zniszczenia sięgały 50% zabudowy. Z ponad 4 milionów mieszkańców pozostało w mieście jedynie 2,8 miliona. W lewobrzeżnej Warszawie całkowitemu zniszczeniu uległo 55% budynków, kolejne 18% uszkodzone zostało w stopniu znaczącym, choć pozwalającym na odbudowę. Do 1948 roku pochowano w mieście 20 ton prochów. Skrupulatne wyliczanie strat materialnych ukazuje skalę apokalipsy, może nas jednak niepokojąco oddalić od tego, co określa jej charakter. Kryje się on raczej w ludzkich doświadczeniach – w strachu przed nalotami, łapankami, gwałtem, utratą najbliższych i własną śmiercią, w atakujących zmysły głodzie, zimnie, fetorze

rozkładających się zwłok. A także w utrwalonym na licznych fotografiach widoku zniszczeń nieporównywalnych z jakimikolwiek wcześniejszymi stratami wojennymi.

Powyższe liczby zostały zresztą niejednemu raz zakwestionowane: w Warszawie czarna legenda Biura Odbudowy Stolicy żywi się opowieściami o licznych kamienicach, które wyburzono, mimo że nadawały się do zrekonstruowania, berliński publicysta w podobnym kontekście mówi o „tragedii odbudowy”[4]. Ta nostalgia za niezachowanymi resztkami dawnego miasta i nierealistyczne marzenie o odtworzeniu go w całości odżywały zresztą wielokrotnie. W Berlinie po 1989 roku starły się dwie koncepcje wypełnienia pustek, które pozostawiła po sobie wojna i podział miasta. Zwolennicy oddania ich do dyspozycji międzynarodowych korporacji spierali się z przedstawicielami nurtu „krytycznej rekonstrukcji”, postulującymi odtworzenie dziewiętnastowiecznego układu miasta. W 2014 roku ma się rozpocząć rekonstrukcja berlińskiej rezydencji Hohenzollernów, która znalazłszy się po wojnie w Berlinie Wschodnim, nie mogła wówczas liczyć na odbudowę. W Warszawie historyk sztuki i przewodnik tworzy dziś makietę przedwojennej Marszałkowskiej, w studiu filmowym powstaje rekonstrukcja tej ulicy w technologii 3D (pod mylącą nazwą *Warszawa 1935*), a jeden z posłów kieruje do ministra kultury interpelację z propozycją odtworzenia ponad stu obiektów przedwojennej warszawskiej architektury[5]. Raz po raz powraca dyskusja o odbudowie Pałacu Saskiego na Placu Piłsudskiego. Wszystkie te projekty mają jedną cechę wspólną: nie wskrzeszają miasta, którego już nie ma, z dzielnicą żydowską, barakami dla bezdomnych na Annopolu i na pół wiejskim Powiślem, ale konstruują jego wyidealizowane, homogeniczne oblicze. Chcą w tym samym stopniu pokazać historyczne miasto – w celu zaspokojenia zabarwionej

nostalgią ciekawości – co je zakryć. Próbując nieporadnie udowodnić, że jesteśmy w stanie odwrócić skutki zniszczeń, zakrywają przy okazji coś jeszcze: obecność apokalipsy w miejskim krajobrazie.

Miasto uświęcone?

MIEJSCE

UŚWIĘCONE

KRWIĄ

POLAKÓW

POLEGŁYCH

ZA WOLNOŚĆ

OJCZYZNY

TU W DN. 11.XII 1943 R.

HITLEROWCY ROZSTRZELALI

40 POLAKÓW[6]

Spotyka się je w Warszawie na każdym kroku. Ich obecność jest tak oczywista, że nie zwraca już niczyjej uwagi. Jasny piaskowiec, z którego je wykonano, ładnie się zestarzał i wtopił w krajobraz miejskich murów. Nadany im przez kamieniarza kształt przypomina order: na krzyżu maltańskim zamiast wizerunku orła widnieje tarcza herbowa, na której umieszczono pamiątkowy napis. Dostojność kamienia, klasyczny krój liter i orderowa forma mają ponadczasową i uniwersalną wymowę. A jednak powtarzające się na każdej tablicy słowo „hitlerowcy” brzmi już trochę niedzisiejszo. Gdyby nie ono, być może pozostałe sformułowania – o miejscu uświęconym krwią Polaków i o śmierci za wolność ojczyzny – nie zwróciłyby niczyjej uwagi. Zastanawiające jest to, czego na tablicach brakuje: z niewiadomych powodów ukrywają one przed przechodniem swój wiek i pochodzenie. Nawet w katalogu warszawskich miejsc pamięci podana jest jedynie przybliżona data ich powstania – lata 50. W rubryce fundator: brak danych.

Tablica pamiątkowa niewiadomego autorstwa to świetna metafora polskiej pamięci o drugiej wojnie światowej, która funkcjonuje w powszechnym odbiorze jako pozbawiona metryki. Tymczasem – tak jak każde upamiętnienie ma autora – tak wszystko, co napotykamy w krajobrazie polskiej pamięci zbiorowej powstało w określonym

kontekście i ma już swoją historię. Geneza kamiennych upamiętnień sięga lat 1945-46, kiedy Ministerstwo Kultury i Sztuki kierowało akcją oznaczania miejsc straceń na terenie całego kraju. W Polsce wzniesiono wówczas spontanicznie mnóstwo monumentów ku czci ofiar okupacji, zazwyczaj z wykorzystaniem religijnych inwokacji i symbolu krzyża – dobrze znanej i zrozumiałej formy upamiętnienia. Samo Ministerstwo proponowało jako godną formę uczczenia zmarłych krzyż uwieńczony koroną cierniową z drutu kolczastego. Nawiązywano w ten sposób do okładki Biuletynu Informacyjnego, który taki właśnie motyw wybrał do oprawy obwieszczenia o straceniu stu warszawiaków w marcu 1942 roku.

W stolicy pojawiło się wówczas ponad sto ochronnych tablic z napisem: „Miejsce uświęcone męczeńską krwią Polaków, walczących o wolność. Naruszenie stanu obecnego wzbronione”[7]. Bardzo podobny tekst widnieje na dzisiejszych kamiennych tablicach, brakuje na nich jedynie krzyża. Między zainstalowaniem prowizorycznych tablic ochronnych a wmurowaniem ich trwałych wersji na początku lat pięćdziesiątych nadeszła epoka stalinizmu, a wraz z nią zmieniła się oficjalna polityka pamięci. Nie trzeba było co prawda przeformułowywać raz ułożonego tekstu: narodowo-heroiczna retoryka dawała się wpisać w ramy komunistycznej propagandy, przedstawiającej faszyzm jako wroga całej ludzkości, a Polaków jako nację, która poniosła w walce z nim szczególne straty. Wskazujący na chrześcijański kontekst upamiętnienia krzyż był natomiast zbędny, a wręcz niebezpieczny – odwoływał się przecież do eschatologicznej perspektywy, która była obca ideologii zwiastującej nadejście raju na ziemi.

„Miejsca uświęcone krwią Polaków” oznaczano w całym kraju – stolica była jednak ich wyjątkowym skupiskiem. Jednocześnie ogrom zniszczeń otwierał możliwości radykalnych zmian w strukturze miasta. Powitali je z radością modernistyczni architekci, którzy już podczas wojny planowali w zgodzie z wytycznymi Le Corbusiera nowe, lepsze miasto. W latach 50. wykorzystali je autorzy wizji Warszawy socrealistycznej. Na terenie dzielnic przeznaczonych do gruntownej przebudowy rezygnowano więc z oznaczania wszystkich miejsc egzekucji, a część z ponad 370 powstałych tablic padła ofiarą wyburzeń z lat 50. i 60. „Świętość” przelanej krwi okazała się względna.

Już w 1948 roku Wydział Muzeów i Pomników Martyrologii Polskiej MKiS deklarował: „Polska nie będzie Państwem Zamęczonych Umarłych, lecz Państwem Żywych. Dlatego też niemożliwe jest upamiętnienie każdej indywidualnej tragedii, gdyż wobec rozpiętości niemieckich zbrodni musielibyśmy stworzyć z Polski krainę cmentarną, a wówczas – albo nie byłoby w niej miejsca dla żywych, albo cmentarz byłby przez żywych deptany”[8]. Rozumiana w ten sposób polityka pamięci nakazała więc wydestylować śmierć z warszawskiego krajobrazu, a destylat zapieczętować w kamiennych tablicach. Potem wprawiono je w mury domów, tak by nie groziło im zdeptanie przez masowo powracających do miasta warszawiaków. Ludność stolicy, a także napływający do miasta robotnicy mogli odetchnąć z ulgą, wrócić do normalnego życia i rozpocząć pracę nad odbudową. Tę samą ulgę poczuli zapewne przedstawiciele nowej władzy: nic nie tamowało już dziarskich i pełnych optymizmu pochodów, które wkrótce ruszyły poszerzonymi arteriami stolicy.

Śmiertelne potknięcie

Spotkanie z pamięcią o śmierci na ulicach miasta może też wyglądać zupełnie inaczej. W dzisiejszym Berlinie relację między miejską przestrzenią a miejscami pamięci ukształtowano w sposób odwrotny do tego wybranego sześćdziesiąt lat temu w Warszawie. Stało się tak za sprawą „kamieni pamięci” (po niemiecku „Stolperstein”: od „stolpern” – potykać się i „Stein” – kamień): wmurowanych w bruk betonowych kostek o wymiarach 10 na 10 centymetrów z przytwierdzonymi na wierzchu mosiężnymi tabliczkami. Wskazują one ostatnie miejsca zamieszkania osób prześladowanych i pomordowanych przez nazistów. Napisy na tabliczkach wymieniają ofiary z imienia i nazwiska, by przywrócić tożsamość ludziom, których w obozach zdegradowano do numerów. Podają datę ich deportacji, a czasem również śmierci. W ten sposób upamiętniona zostaje przede wszystkim osoba i jej życie, a jej dzisiejsza nieobecność w miejskiej przestrzeni nabiera konturów.

Pierwsze „Stolpersteine”, według projektu niemieckiego artysty Guntera Demniga, wmurowano w 1990 roku w Kolonii, by uczcić pięćdziesiątą rocznicę deportowania Romów i Sinti z miasta. Dzisiaj ogromna większość wymienionych na „kamieniach pamięci” osób to niemieccy Żydzi. Poznać to można jedynie po brzmieniu nazwisk – na tabliczkach brak bowiem wzmianek o narodowości ofiar. Większość Żydów, których deportowano z Berlina w trakcie drugiej wojny światowej, pojawiła się w nim dopiero po 1914 roku i nie utworzyła nigdy prawdziwego getta. Biedniejsi spośród nich mieszkali głównie w obdarzonym złą sławą rejonie Scheunenviertel, jednostki

zasymilowane – w bogatszych częściach miasta, takich jak dzielnica bawarska w Schöneberg. W Berlinie Żydzi stanowili zresztą około 4% ludności miasta, podczas gdy w Warszawie – aż 1/3 populacji.

Pustka, która pozostała po berlińskich Żydach, jest więc dużo bardziej rozproszona i migotliwa od skondensowanego nieistnienia warszawskiej dzielnicy żydowskiej[9]. A zarazem pamięć o pomordowanych mieszkańcach miasta ma w Berlinie wyraźniejsze zaczepienie w materii – w wypadku, gdy nie przetrwały żydowskie domy, często został zachowany przynajmniej układ ulic pozwalający na ich upamiętnienie. Być może jest to jeden z powodów, dla których – choć „kamienie pamięci” pojawiają się w całej Europie, a także w Polsce – do Warszawy jeszcze nie dotarły. Ludzki wymiar warszawskiej apokalipsy nadal opisuje utrwalona w kamieniu retoryka anonimowej wspólnotowości i „śmierci za ojczyznę” – podczas gdy w mieście, z której dowodzono inwazją pustoszącą polskie ziemie, nie przystoi dziś nadawać śmierci jakiegokolwiek sensu.

Pamięć, historia i apokalipsa

Wieszcząc kres żywej pamięci, francuski historyk Pierre Nora pisze, że cierpimy jednocześnie na hipertrofię pamięci: im mniej sami pamiętamy, tym więcej chcemy zachowywać, archiwizować i upamiętniać[10]. Miejsca pamięci to dla niego odpryski nieistniejącego już świata, w którym pamięć stanowiła część codziennego doświadczenia lokalnej lub narodowej wspólnoty. Architektoniczne i filmowe rekonstrukcje, nostalgiczne spacerunki po mieście, pieczołowite katalogowanie jego nieistniejących zabytków – to miejskie wcielenia hipertrofii pamięci. Utracone przez nas środowisko pamięci (*milieu de*

mémoire) Nora rozumie metaforycznie, tak samo zresztą jak miejsce pamięci (*lieu de mémoire*), które nie musi mieć według niego charakteru topograficznego.

Dla mieszkańców Warszawy i Berlina pamięć drugiej wojny światowej jest jednak nie tylko jednym z symbolicznych punktów, w których krystalizuje się ich miejska tożsamość, lecz także czymś, co przenika ich codzienność. Jest obecna na poziomie refleksji, gdy zdarza im się zatrzymać przy pamiątkowej tablicy lub „kamieniu pamięci”, ale też w doświadczeniu zmagania się z nieciągłą, niezrozumiałą, poharataną miejską przestrzenią. W tym sensie obie stolice są „miastami pamięci” – (po)nowoczesną wersją „środowiska pamięci”, która w tym samym stopniu ze strachu przed zapomnieniem produkuje kolejne reprezentacje swojej przeszłości i kolekcjonuje jej szczątki, co jest wewnętrznie zdeterminowana do pamiętania i nie może się od niego uwolnić.

Historia przyspieszyła w ostatnim stuleciu tak znacznie, że żaden budynek ani człowiek nie mógł być (i nie może być) już pewien swojej przyszłości. Niemiecki architekt twierdzi, że „spośród wielu miast [Berlin] wywarł najmocniejsze piętno na historii dwudziestego wieku. (...) Inaczej niż pozostałe miasta, Berlin nie wyróżnia się klasycznym pięknem, nie jest ani kompozycją wynikającą z idealnego planu, ani też wytworem organicznego rozwoju; miasto charakteryzują nieciągłości i przeciwieństwa, różnorodność i pustka. Berlin jest brzydki, a jego intensywność i indywidualny charakter są jednocześnie źródłem fascynacji”[11]. Brak klasycznego piękna i planu, nieciągłości i kontrasty, fascynacja brzydotą – wszystkie te określenia narzucają się z równą intensywnością przy próbach opisu dzisiejszej Warszawy. W odróżnieniu od Berlina jawi się ona jednak przede wszystkim jako

ofiara, obiekt, a nie podmiot historii – i nie zmienia tego wolnościowy zryw 1944 roku. Tragedia II wojny światowej, która przyćmiewa wszystkie wcześniejsze zniszczenia i trudności, jest z warszawskiego punktu widzenia zwieńczeniem traumatycznej historii peryferyjnego miasta-ofiary. Dla Berlina jest to natomiast kara za zbrodniczą megalomanię – z tego względu nie wypada mu zbyt celebrować własnych ofiar, zarówno ludzkich, jak i materialnych. Z tego powodu w przestrzeń miasta najłatwiej wkomponowują się dziś żydowskie miejsca pamięci. Wojenne zniszczenia nie karmią też legendy miasta przedwojennego w tym samym stopniu, jak się to dzieje w Warszawie. Te faktyczne różnice w sytuacji obu miast były glebą, na której mogły rozwinąć się odmienne pamięci apokalipsy – lecz nie jedynym powodem ich odmienności.

Spontaniczne odkrywanie i upamiętnianie żydowskich śladów w Berlinie jest efektem długofalowych przemian niemieckiej pamięci zbiorowej: potrzeba było kilkudziesięciu lat, by na ulicach niemieckich miast pojawiły się „Stolpersteine”. Lata 50. charakteryzowało „zbiorowe przemilczanie” zbrodni nazistowskich, które paradoksalnie ułatwiło odbudowę ze zniszczeń wojennych i demokratyzację społeczeństwa. Ta z kolei umożliwiła i wyzwoliła w latach 60. falę moralnie uzasadnionej krytyki wobec wcześniejszej postawy. Holocaust stawał się coraz istotniejszy dla niemieckiej kultury pamięci, by w końcu zająć w niej centralne miejsce. Aleida Assmann pisze, że to trwałe zobowiązanie do pamięci „(...) podnosi konkretną epokę historyczną do rangi normatywnej »przeszłości« i zbliża się pod tym względem do wyznania (obywatelskiej) religii”[12]. To właśnie ta obywatelska religia wzywa berlińczyków do umieszczania kolejnych „kamieni pamięci” na ulicach ich miasta.

W momencie, gdy w Berlinie pojawiły się pierwsze „Stolpersteine”, Warszawa dopiero odnajdywała się w kapitalistycznych realiach, mierząc się początkowo przede wszystkim z trudną terażniejszością. Dopiero później przyszła kolej również na głębszy namysł nad przeszłością – w tym jej żydowską częścią, dla której tuż po wojnie nie znaleziono miejsca na pamiątkowych tablicach. Stosunek do pamięci II wojny światowej pozostaje w nierozzerwalnym związku z postrzeganiem Polski Ludowej. Kształtuje się inaczej w zależności od tego, czy uznamy PRL za swego rodzaju epilog apokalipsy i czarną dziurę w historii Polski[13], czy też za historyczną epokę, która do dzisiaj wywiera wpływ na polską pamięć zbiorową. Symbolicznym wyrazem tego dylematu jest stosunek do warszawskich tablic pamiątkowych z lat 50.: na ile należą one do dzisiejszej pamięci zbiorowej warszawiaków, a na ile są jedynie martwą pozostałością po systemie, który chciał pamięć o apokalipsie zamknąć w kamieniu i zinstrumentalizować dla własnych celów?

Berlin i Warszawa to mimo tych wszystkich różnic miasta bardzo podobne, które ukazują dwie strony tego samego medalu: ludzkiego cierpienia. Stolicę sprawców i stolicę ofiar spotkał ostatecznie ten sam koniec. Kluczem do zrozumienia związku między dwoma miastami jest uznanie, że ich losy w trakcie II wojny światowej należy rozumieć łącznie, że są one odsłonami tej samej apokalipsy. Również odmienne oblicza dzisiejszej pamięci o niej nie powinny nam tego faktu przesłaniać. Berlin nadaje tej pamięci wymiar etyczny i indywidualny, dyskretnie wyprowadza ją na ulice i pozwala swoim mieszkańcom potykać się o nią na ich codziennym szlaku. Pośrednim efektem tego procesu jest jednak pozbawienie jej eschatologicznego ostrza. Warszawa jest rozdarta pomiędzy celebracją apokalipsy (czego najlepszym współczesnym przykładem jest zrealizowany przez

Muzeum Powstania Warszawskiego film *Miasto ruin*, a autorską wersją – książka Jarosława Marka Rymkiewicza *Kinderszenen*) a uciezką w idealizowane rekonstrukcje przeszłości, tudzież niezrealizowane (lub nierealizowalne) wizje przyszłości[14]. Próbuje dostrzegać też szczególne doświadczenie warszawskich Żydów, spotykając się w tym samym czasie z emocjonalnym zarzutem o chęć jego symbolicznego zdominowania[15].

Okazuje się, że nikt nie ma dobrej recepty na obchodzenie się z apokalipsą. Nie tylko nie jesteśmy w stanie wskrzesić zamordowanego miasta: wątpliwe jest nawet, czy potrafimy pamiętać miejską apokalipsę tak, jak ona to zasługuje. A jednocześnie to właśnie fakt, że wymyka się ona naszemu rozumieniu i pamięci, najlepiej potwierdza jej apokaliptyczność. Spacery po Berlinie i Warszawie to nie tylko spotkania z historią, pamięcią i architekturą. To także lekcja myślenia w kategoriach ostatecznych, przypomnienie o tymczasowości naszego aktualnego miejsca zamieszkania. Być może zamiast litować się nad apokaliptycznymi miastami, przeklinać je lub próbować intelektualnie okiełznać, powinniśmy zacząć je za tę lekcję po prostu błogosławić.

Joanna Kalicka



Artykuł ukazał się w numerze piątym „Magazynu

Apokaliptycznego. 44 / Czterdzieści i Cztery”. Spis treści i fragmenty pozostałych tekstów opublikowanych w tym tomie – m.in. bloku

wywiadów o grzechu strukturalnym oraz artykułów Erika Petersona i Carla Schmitta – można znaleźć na stronach internetowych pisma.

[1] Z dziennika **Karla Deutmanna**, wpisy z 24 czerwca 1945 i 11 lipca 1945,
http://www.hdg.de/lemo/forum/kollektives_gedaechtnis/011/index.html
(dostęp dnia 5.10.2012)

[2] **P. Hertz**, *Umarłe i żywe*, „Życie Literackie” (Poznań) 1945, nr 5/6, z dn. I VIII. Cyt. za: E. Borecka, L. Sempoliński, *Warszawa 1945*, Warszawa 1985, s. 275.

[3] **S. Dłużniewska**, godło „Sabina”, *Pamiętnik*, rękopis w zbiorach Biblioteki Muzeum Historycznego m. st. Warszawy, sygn. 84. Cyt. Za: *Warszawa 1945*, dz. cyt., s. 14.

[4] **W.J. Siedler**, *Phoenix im Sand: Glanz und Elend in der Hauptstadt*, Berlin 1998, s. 65.

[5] Patrz: <http://www.sejm.gov.pl/sejm7.nsf/interpelacja.xsp?typ=INT&nr=2930> (dostęp dnia 5.10.2012).

[6] Tekst widniejący na tablicy pamiątkowej przy al. Solidarności 83/89.

[7] Cyt. za **Z. Mazur**, *Upamiętnienie w latach 1945-1948 ofiar niemieckiej okupacji*, „Przegląd Zachodni” 2004, nr 4, s. 141.

[8] Cyt. za **Z. Mazur**, *Upamiętnienie...*, dz. cyt., s. 148.

[9] O innych żydowskich miejscach pamięci w Berlinie: **K. Kończal, M. Nesselrodt**, *Pamięć wtopiona w codzienność*, „Cwiszn. Pomiedzy: żydowski kwartalnik o literaturze i sztuce” 2012, nr 1-2.

[10] **P. Nora**, *General Introduction: Between Memory and History*, [w:] *Realms of Memory: Rethinking the French Past*, pod red. L.D. Kritzmana, vol. I: *Conflicts and Divisions*, New York 1996, s. 1-20.

[11] **Ph. Oswald**, *Berlin, miasto dwudziestego wieku*, [w:] *Co to jest architektura? Antologia tekstów*, pod

red. A. Budaka, Kraków 2002, s. 97.

[12] **A. Assmann**, *Von kollektiver Gewalt zu gemeinsamer Zukunft*, [w:] *Erinnerung und Gesellschaft: Formen der Aufarbeitung von Diktaturen in Europa*, pod red. W. R. Assmanna, A. Graf von Kalnein, Berlin 2011, s. 41.

[13] Por. **J.M. Rymkiewicz**, *Kinderszenen*, Warszawa 2008, s. 10-11.

[14] Por. **J. Trybuś**, *Niepowstanie warszawskie*, „ResPublica Nowa” 2008, nr 3.

[15] Patrz: **E. Janicka**, *Festung Warschau*, Warszawa 2012.